L. 494.

LWÓW / NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO * WARSZAWA / E. WENDE I SKA.

ODBITO W DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“ WE LWOWIE POD ZARZĄDEM J. ZIEMBIŃSKIEGO
MCMIII

WŁADYSŁAW ORKAN

Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI

DROGA

I.

Gdym dzieckiem chodził dumać nad potokiem,
Wówczas już, goniąc białe, nikłe piany,
Cały mój przyszły żywot opłakany,
Jak równe pole, przebiegałem okiem...

Że pójdę pustką, ugorem i tłokiem
W dal, goniąc z wiatrem puch kwiatów rozwiany,
Czułem... że pójdę w Pieśni rozkochany,
Niedoli wiecznej zaklęty urokiem.

I czułem wówczas, że w tej smutnej drodze
Rosą nadziei ust mych nie ochłodzę,
Wiara obejdzie mię i szczęście minie —

Wiatr mię wśród pustki powiedzie jedynie
I miłość wieczna do tej Pani świata,
Co nad potokiem łez włosy rozplata...

II.

Przez te dalekie, szare, puste tłoki
Znużony idę... Wszystkie me nadzieje
Wiatr zimny wcześnie starga i rozwieje,
I poschną kwiaty wiary mej głębokiej.

Bo, jak świat cały długi i szeroki,
Znikąd nie świta zorza i nie dnieje;
Wleką się życia szare epopeje,
I wszystko zwolna schodzi w senne mroki...

A mnie nieznane, wielkie jakieś moce
Na życie wieczną ukarały męką:
Że mam iść polem przez te szare noce

I być „przechodniom wyciągniętą ręką",
Za którą błędne obracają twarze,
Czy im w oddali świtu nie ukaże...

III.

I nie wiem, czy jest jaki płatek ziemi,
Gdzie serce moje znajdzie ukojenie —
Lecz dotąd wielkie zszedłem już przestrzenie,
A wszędy tęskno i smutno i źle mi...

I nieraz duszę dziwny lęk oniemi,
Gdy, jak wśród gęstwi snujące się cienie,
Liście odchyla rękoma drżącemi,
Czy nie przeszczepią jej palców promienie,

Czy nie zaśnije ptak o rannym świcie...
I wysłuchuje sen spokojnych zacisz,
Kędy przed myślą kryje się Nieznane.

Wszędy jednako, szaro, pusto... Życie!
Gdybyż cię choć raz, na męki skazane,
Objęły wzrokiem dusze, które tracisz!...

IDĘ KU TOBIE...

I.

Idę ku Tobie... a myśl mię wyprzedza.
Lecąc wśród mgławic, jak spragniona kania —
I chociaż nie wiem Twojego nazwania:
Czy imię Twoje Spokojność, czy Wiedza —

Idę ku Tobie... Choć mgły nie rozrzedza
Wzrok, ni przedemną drogi nie odsłania,
Choć mię strach ziębi i bojaźń zbłąkania,
Gdy mi ostatnia we mgle ginie miedza —

Idę ku Tobie... Z zapałem pielgrzyma,
Z ufnością dziecka idę wśród padołu,
Ze mną tęsknica i smutek pospołu...

I nie wiem, kędy droga się zatrzyma:
Czy tu na ziemi, na słońcu, czy w niebie —
Idę i szukam, jakbym szukał siebie...

II.

Przez puste tłoki i łopuszne ściernie,
Przez osty polne, iglaste jałowce,
Przez urwiskowe, przepastne manowce,
Raniąc swe stopy o przydrożne ciernie.

Idę ku Tobie... Dokoła mnie czernie
Błądzą stadami, jak stracone owce,
Błądzą, szukając paszy, ludzie-dniowce,
A trawy ljaste ścielą się obszernie...

Czas, niby dzięcioł, lata w drzewach kuje —
A ja wśród młodych i starych pokoleń,
Zasłuchan w przyszłą godzinę wyzwoleń.

Idę ku Tobie... I choć sercem czuję,
Że nie odnajdę Cię, aż w cichym grobie —
Przez łzy konania, ból — idę ku Tobie...

PRZELOTNE PTAKI

I

Nieraz jesienią, idąc po ugorze
Pośród jałowców osendziałych śniegiem,
Widziałem ptaki, lecące szeregiem
Gdzieś nad nieznane, południowe morze...

Oczy za nimi gubiłem w przestworze,
Goniąc myślami za ich chmurnym biegiem:
Gdzie one spoczną, i nad jakim brzegiem?
Czy nowe życie znajdą, czy śmierć może?...

I długo stałem, zapatrzony w dale —
Aż cały smutny ten różaniec ptasi
W krople się stopił i zginął w przeźroczu...

Wówczas się ku mnie zbiegły wszystkie żale,
Tęsknice za tem nieznanem, co gasi
Wieczne pragnienia i łzy ściera z oczu...

II

I z kraju nędzy, gdzie nie giną lody,
A śnieg po turniach z wieku na wiek leży,
Ziemię zamraża i ugory śnieży,
Z krainy, kędy zimne wieją chłody,

Poszedłem szukać słońca i pogody.
Gór mych odbiegłem, i trzód, i pasterzy,
Z nadzieją wiosny, jak dziecko, co wierzy
W nowe świtania i promienne wschody.

Marzyłem zawsze o tak wielkiem świetle
Gwiazd, na tysiączne rozszczepionych ognie,
Które po niebie łuk za łukiem kreślą —

Że: albo przy nich serce w popiół zetlę,
Albo tak duszę stopię i rozognię,
Iż słońcu buchnie w twarz płomienną myślą!

III

Stanąłem w cichej, uśpionej dolinie,
Pełnej oświetleń słońca i promieni,
Gdzie drga powietrze tysiącem odcieni
I morze światła przed oczyma płynie...

Chciałbym zatrzymać duszę w tej krainie,
Zapomnieć lodów, zimy i jesieni,
I być, jak ludzie w czczęściu zamyśleni,
Bez wiecznych pragnień, i zawsze i ninie.

Tak tu spokojnie, cicho... Całe życie
Zdaje się tonąć w bieli i błękicie,
Słońce promieni żywot i ozłaca...

Idę w te blaski martwemi oczyma —
Myśl nieustannie i zawsze powraca
W krainę, kędy wieczna leży zima...

MÓJ DOM

I

Mój dom — skalista wyspa na szarym wód bezkresie.
Morze ludzkiej niedoli, z potoków łez powstałe,
Opływa go dokoła, podmywa się pod skałę,
Żywą, stupłetwną falą pod kamienny wierch pnie się...

Mój dom — odwieczna pustka, pola opustoszałe,
Wiatr po ścianach zawodzi, po jałowcowym lesie,
Stracone w ziemi płacze przez ugory mi niesie,
Zmarłe przywiewa liście, od mrozu osendziałe.

Mój dom — to mój niepokój, to grób mojego życia,
Kolebka duszy smutnej i roztęsknionej wiecznie —
Gniazdo, gdy las tną, w szczycie u ostatniego złomu..

Nie wiem, kto bardziej trwożny: Czy ten, co od rozbicia
Chroniąc się, wszedł na deskę, żegluje niebezpiecznie —
Czy ja, który się na to patrzę z mojego domu...

II

Zaledwie Cisza zajrzy w moją pustą dziedzinę —
Już jej niema — traci się i przepada u węgła...
A tuż za nią Płacz staje: Na twarzy jeno ścięgła,
W oczach widać otchłanie dwie i jedną głębinę...

I poczynają wzbierać te dwa jeziora sine,
Zlewać się w jedno morze, jakby je powódź sprzęgła —
Już jedna fala mokra serca mego dosięgła,
Już duszą na zwełnionych, wezbranych wodach płynę...

Lament fal — krzyk gór, w niebo wdzierających wyłomem —
Jęk wód, zapadających w ciężkie, bez dna otchłanie —
Przelatujące w wichrze Nędze — Bóle — Rozpacze...

Otom w samotni pustej sam opuszczonym domem.
Dusza z falami poszła na wieczne bojowanie,
A serce po ugorach straconej duszy płacze...

Z RÓŻNYCH CHWIL

PRZEKLEŃSTWO

Tam w dole — czarne ludzkie zmalałe mrowisko.
Żaden jęk, żadne echo ku mnie nie dolata.
Wyolbrzymiałą duszą płynę w nieskończoność świata,
Wpatrzony w białe słońca rozkwitłe ognisko.

Lecz oto płacz od ziemi idzie chmurą ciemną,
Zbliża się piorunami głodne wężowisko.
Grą piekieł dochodzi ku mnie życie — już jest blizko,
Już u stóp moich ryczy burzą — już nademną!...

Tam w górze — białe słońce goreje wieczyście,
Lecą gwiazdy, migocą, jak ogniste liście,
Świecą barwami kwiatów po niebieskich dworach.

Jam jest jak wiatr, padolną obłąkany nędzą —
Ledwo go skrzydła lotu nad chmury zapędzą,
Już spada i budzi się na swoich ugorach.

NA HALI

Jaki tu ogłuszały, martwy spokój!... Zda się,
Życie morzem spłynęło od mych stóp na wieki
I oniemiało w dole... Wyschły gwarne rzeki
I odleciała pamięć o umarłym czasie.

Siadłem na opuszczonym progu przy szałasie.
W niżach, oczom otwarty, siny kraj daleki —
Bliżej wrąb; wśród białych pniów, niby wśród pasieki
Stracone jagnię, idąc, samotnie się pasie.

Powoli mrok poczyna wyzierać z uboczy
I, okrążając wzgórza, pełza pomalutku,
Poza pniaki przed zorzą zachyla się skrycie —

Patrzące ku mnie śmiercią widzę jego oczy,
Widzę owe przepastne, nieme oczy Smutku,
W których na dnie otchłannem odbija się życie...

MIAŁEM RAZ CHWILĘ...

Miałem raz chwilę, i już nie wiem, gdzie się
Podziała... Śpiewy mię w ugor zawiodły.
Zachód był. Owce swawolnie się bodły
I czyste dzwonki dzwoniły po lesie...

Nagle mię owiał dreszcz... Uczułem, że się
Coś w mojej duszy budzi — jakieś modły —
Coś, jak daleki szum rozchwianej jodły,
Coś, co się czuje w dali i w bezkresie...

Było to jakieś czystych uczuć łkanie,
Płacz i modlitwa pierwsza, najgorętsza,
Nieba całego w mej duszy wezbranie —

Chwila, ze wszystkich chwil życia najświętsza.
O jaki straszny żal! gdy wspomnę i gdy
Pomyślę, że już nie powróci nigdy...

PÓŁNOC

I

Cisza... Ostatnia świeca się dopala.
Jeszcze mi w uszach huczy odgwar dzienny —
Zda się, w mych myślach płynie potok senny,
Jedna, i druga, i dziesiąta fala...

Z szumem nadpływa, to się znów oddala
I wraca pianą biały potok senny...
Północ wydzwonił stary zegar ścienny.
Cisza... Ostatnia świeca się dopala.

Północ i cisza. Jaka dziwna chwila!
Szelest... To pewnie robak ścianę wierci.
Zgrzyt... Pewnie szafa rozeschła i trzeszczy.

Jakiś cień ku mnie z mroku się wychyla...
Czuję, jak stąpa widmo cichej śmierci,
Jak się przybliża falą zimnych dreszczy.

II

O tej godzinie z ciemnych kurytarzy
Wychodzą dusze, pełne zamyślenia,
Szukać spokoju, ciszy i wytchnienia
Pośród uroczysk uśpionych cmentarzy.

O tej godzinie myśl dziwnie kojarzy
Senne obrazy, widma i wspomnienia...
Zwolna się ku mnie wychylają z cienia
Szeregi dawno zapomnianych twarzy.

Widzę je wszystkie... jasne i pogodne —
Spojrzenia mają spokojne i chłodne:
Nic ich nie smuci i nic nie weseli.

Nie żal mi, gdy się roztapiają w cieniach,
Bo w oczach wszystkich i zimnych spojrzeniach
Czytam: „Tak dawno, jak my zapomnieli!...“

ŚWIT

Świt niedaleko — a miasto uśpione...
Martwość i bezruch... Oddechy niczyje
Nie mącą ciszy — i zegar nie bije,
Godziny idą długie, nieskończone...

Lękliwe Nędze, w zaułki wtulone,
Mrokiem swe chude owijają szyje.
Widzę... Niedola pod murem się kryje
I w dłonie chowa oczy załzawione.

Ból się przyczaił, przyczołgał po ziemi
Pod okno moje — i, jak ludzie niemi,
Nic nie rzekł — spojrzał tylko okiem szklannem...

I w oku, które już płakać nie może,
Ujrzałem wielkie, nieskończone morze
Łez...
Miasto życiem budziło się rannem.

SAM JESTEM

Sam jestem, choć wiem, że w jedną godzinę
Dusze mi drogie może równocześnie
Wyszepcą zcicha moje imię we śnie —
Bo wiem, że jak sen, nie budząc ich, minę...

Sam jestem, choć mam ogromną rodzinę
Nędzarzy, wiatrem kołysanych wcześnie;
Ten wiatr mię chował tak dziko i leśnie,
Że pieśnią za nim polecę i zginę...

Może, gdy burza lasy rozkołysze,
Przy szumie jodeł i smereków chrzęście
Napotkam nigdy niewidziane szczęście...

A może kędyś zawędruję w ciszę,
W kraj, którym jeszcze śnił dzieckiem malutkiem,
I sam zostanę... sam ze swoim smutkiem.

Z GÓR

JEST KRAJ NIEZNANYCH CUDÓW..

Jest kraj nieznanych cudów,
Gdzie z białych gór
Potoki srebrem płyną,
Doliny spią,
A tajemnicze źródła leśne
Czyszczą ze szmerem przy świetle księżyca
Połyskujący, złoty piasek.
Smreki w milczeniu stoją, bez oddechów,
Jak straże nocne w przedsieni kościoła,
W którym za mgławą tajemnic osłoną
Bóstwo, nieznane ludziom, śpi...

A jedle drżą,
Dygocą lękiem utajonym,
Czy ich nie zdradzi światło białe,
Które na nie pada;
Bowiem sięgają nagiemi ramiony
W głębie rozpadłych, wązkich szczelin
I wyczuwają palcami korzeni
Skryte głęboko pod skałami skarby.
Albo na ziemię kładą się cieniami
I, wstrzymując dech, słuchają,
Co tam w głębi dzwoni...
A to dzwonią owce białe, idące uboczą;

Wełna im się zdala srebrzy
Jak te włosy fal,
Wspinających się w księżycu
Ku urwistym brzegom.

. . . . . .

Przeszły ubocz,
Już dochodzą pod zamglony wierch...

A małe jagnię ostało,
Nie może nadążyć,
Samo idzie po polanie, zawodzi i płacze
I woła, woła, by go poczekali...

. . . . . .

Ostatniej owcy grzbiet łysnął za wierchem.

. . . . . .

W głuchej ciszy słychać jeno ten samotny płacz.

O kraju! O dolino smutku!

. . . . . .

Tam — przy nieznanem drzewie
Ukryty drogi skarb,
O którym nikto nie wie...

ZAŚNIĘCI

I

Jest góra Wielkich Czynów... a w niej grota,
Gdzie nie zajrzało nigdy światło dzienne,
Ni blaski wschodów słonecznych promienne,
Ni zachodzących słońc odzorza złota.

Stoi zaklęta w ciszę... a w tej grocie
Odwiecznym dumem siadły mroki senne.
To się rozpięły przędzą wisze ścienne:
Mchy, i powoje, i skalne paprocie.

W ciemni, od świata oddzielone skałą —
Gdzie jeszcze nigdy życie nie zajrzało,
Nie wpadło echem w uroczysko święte —

Zaklęte wojsko spi — kamiennie stoi,
Nieruchomie — w spleśniałej, czarnej zbroi —
Skałą wrosłe w podziemny grób — zaśnięte...

II

Po stalaktytach, co soplami wiszą.
Płyną kroplami łez lodowych ścieki
I, jak podziemne, zapomniane rzeki,
Bruzdami lata na kamieniach piszą.

Spokój... Tam w górze gwar życia daleki...
Skalni rycerze nie czują, nie słyszą,
Spią nieprzespanym snem, owiani ciszą.
Spią lata całe, dziesiątki i wieki...

Przyjdzie cud... Grzmoty do jaskini wpadną —
„Już czas!“ — zawoła echo, i rycerze
Zbudzeni wielkim poruszą się lasem...

Lecz biada temu, kto dziś spojrzy na dno
Zaklętej groty i w najświętszej wierze
„Już czas!“ zawoła i zbudzi przed Czasem!

ZE SZCZYTU

I

Ze szczytu patrzę w dal... i, dziwnie dumny,
Przebiegam okiem zmienne krajobrazy.
Podemną siadły nizinne upłazy
I legł świat cały gwarliwy i tłumny.

Zniżył się w dole i zapadł... Lot szumny
Echem się w górach odbije sto razy,
A nie doleci zapadłej oazy,
Na którą patrzę spokojny i dumny.

I taką czuję trwogę do powrotu,
I taką bojaźń szarej, prostej trumny,
A taką rozkosz podniebnego lotu —

Że choćby z wierchów upaść od zawrotu,
Ciało roztrzaskać o głazy-kolumny
I skonać... Skonam spokojny i dumny.

II

Ze szczytu patrzę w dal... Podemną sioła.
Miasta i zamki legły jak mrowiska.
Przelatam myślą gromadne siedliska,
Widzę — przedemną świat poniżył czoła...

Zmalało wszystko, skarlało dokoła,
Szarość obsiadła pola, łany, rżyska —
Ziemia śpi — blado do słońca połyska...
Świat martwy — nic mię na cmentarz nie woła...

I echo gwaru z dołu nie dolata.
Czuję, jakgdybym odchodził od świata
W kraj orli, własny, od niżów, od ludzi...

I w duszy mojej dziwny żal się budzi,
Żem słuchał kiedyś ich pustych widowisk,
Żem był maleńką mrówką wśród tych mrowisk...

Z WIERCHÓW SMRECZYŃSKICH

I

Obracam oczy na południe,
I dokąd błękit sięga —
Słonecznie jasno, kwietno, ludnie,
Uśmiecha się potęga.

Ocean światła... Zda się: słońce
Nie płynie już przestworzem,
Spadło w doliny te kwitnące
I legło cichem morzem.

Życie się topi w tej powodzi,
Jak niebo na dnie morza,
I zda się: ziemia inne rodzi,
Niebieskie jakieś zboża.

II

Obracam oczy ku północy,
I aż się duch przeraża —
Widmo posępnej, czarnej nocy
Podnosi się z cmentarza...

Idzie doliną, idzie górą,
Jak straszne widmo człecze —
Po niebie sunie czarną chmurą,
Po ziemi mgłą się wlecze.

Przez mgły, padolne żałobnice,
Które zaległy niże,
Skrzypiące słychać szubienice
I czarne widać krzyże...

III

Od wschodu granitowych szczytów
Olbrzymie sterczy gniazdo
I z chmur spogląda do błękitów
Błyszczącą morską gwiazdą.

Czy noc na ziemi, czy słoneczność —
Zapadłe w spiż głęboko,
Wpatrzone w błękit, marzy wieczność
Spokojne Morskie Oko.

PO UGORACH...

I

Po ugorach i po szarych łanach zbóż
Powiał jakiś zaraźliwy, mroźny wiew...
W złotych kłosach niedojrzały zatruł siew
I pomroził wczesne pączki dzikich róż.

Niby jakiś przedśmierciowy, smoczy ziew
Gna zarazą, ponad ziemią wzdyma kurz,
Który oczom przeosłonił świty zórz
I mgłą ciemną pookrywał wierchy drzew.

Turbanem się zakapturzył stary świat,
Śpi — a za nim twarz wychyla wieczny gniew
I przybliża się powoli nocą burz...

Żywym lasem idzie zemsta wieków lat —
Przed nią powiał zaraźliwy, mroźny wiew
Po ugorach i po szarych łanach zbóż...

II

Po ugorach, wśród zasianych zbożem pól
Ciemność chodzi, jak przed burzą... Zamilkł śpiew
Ptasząt polnych; słychać jeno krzyki „mew".
Jak się skarżą, odlatując stadem z ról...

A na roli czerwieni się każdy krzew.
Czerwieni się „trawka złota" pośród pól,
Bo gdy na nią spadną rosy — już je ból
Wypotniałych znojem jestestw mieni w krew.

Za chmurami słońce pali. Nowy świt
Nie pokrzepi beznadziejnych, martwych dusz,
Gdy im niesie nowe smutki każdy dzień.

Jeden tylko słychać wszędzie płacz i zgrzyt —
I nocą się rozpościera groźny cień
Po ugorach i po szarych łanach zbóż...

III

Chłop na łany wyszedł z kosą... istna śmierć!
Istny szkielet, chylący się pośród zbóż...
Stanął... patrzy... kiwa głową: „Któż wie, któż.
Czyli z korca wysianego zbiorę ćwierć...“

„Nie usiecze... owies mały... liche źdźbła.“
Prasnął kosą, aże brzękła — rzucił sierp —
„Dał ci Pan Bóg marne życie... a ty cierp!“
Zęby zaciął — na powieki trysła łza...

I potoczył łzawem okiem w ciemną dal:
„Przyjdzie zczeznąć... Ha, no darmo! To i cóż?
O mnie mniejsza, ino dzieci... dzieci żal!“

I do serca pchał się gwałtem czarny lęk —
I poleciał niesłyszany, cichy jęk
Po ugorach i po szarych łanach zbóż...

CIEŃ

Idę ścieżyną i mijam zboża,
Łany złociste —
Pod stopy śle mi zachodnia zorza
Światło rzęsiste...

Krwawi przedemną miękkie trawniki,
Ruń aksamitną,
Ubraną w jaskry, mchy, rozchodniki,
W rosę błękitną.

Złocista przestrzeń chyli i gnie się
I w takt kołysze,
A lekki podmuch z oddali niesie
Szelest i ciszę...

W oczach się mieni rozkołysana
Rytmiczna fala,
Gdy, w znikającej zorzy skąpana,
Ognie rozpala...

Dokoła kłonią poważnie kłosy
Wysmukłe żyta,
Tuli się kąkol, chwieją stokłosy
I mak rozkwita.

Bławat oczkami patrzy siwemi
Na mnie z ukrycia —
Idę i marzę tu na tej ziemi
Słoneczność życia...

Śnię... tędy boska przechodzi stopa...
Zboża się kładą...
Nagle ujrzałem w życie twarz chłopa
Śmiertelnie bladą.

ŚNIEŻNA PANI

Widziałem ją w srebrzystej bieli,
Od chaty szła do chaty —
Przed nią się puch leciuchny ścieli,
A za nią rosną kwiaty...

I narosło ich milijony,
Zasiały całą ziemię —
A ja spoglądam na wsze strony
I od podziwu niemię...

Błyszczą ogniami dyamenty,
Kryształy i opale —
Błękitne ku nim firmamenty
Zniżyły się omdlale...

I w upojeniu i w uścisku
Legły na puchy na łabędzie —
A taki wielki spokój wszędzie,
Jakby w zaklętem uroczysku.

Wśród tych obłocznych, jasnych wiszy,
Po białem z gwiazd posłaniu
Chodziła śnieżna pani w ciszy,
W anielskiem zadumaniu...

I dziś ją widzę... Wiatr ją pędzi
Od chaty wciąż do chaty —
Pozmiatał z przed niej puch łabędzi,
Pozrywał za nią kwiaty.

A gdy się biała jej zasłona
Stargała niby przędza —
Widzę, jak idzie zalzawiona,
Skostniała, zimna Nędza...

PATRZCIE, WOJCIECHU...

Patrzcie, Wojciechu, na te cuda!
Srebrzyste kule śniegu lecą —
Jedna po drugiej leci gruda,
A wszystkie srebrem w słońcu świecą...
— Nic to! — odrzecze z jasną twarzą —
Wczesne ziemniaki się udarzą...

Patrzcie, ile to płatków płonie
I skrzy się w słońcu przez odbicie,
Jak okiem dojrzeć — całe błonie
Pali się srebrem... Nie widzicie?
— Widzę — odrzecze — ostra zima!
Pogoda w lecie nam wytrzyma.

A patrzcie, ile drgań, promieni,
Ile to ogni sieją zorze,
Ile to barw się w słońcu mieni,
Jakie złocisto-krwawe morze!...
— Dyć chwała Bogu! Zmięk napewno.
Da przywieść z lasa jakie drewno...

Czyż nie widzicie tych wszystkich piękności,
Wśród których, szczęśni, od mała żyjecie?
Spojrzcie — doprawdy, bo mię to już złości —
Spojrzcie, ile to cudów na tym świecie!...
— Prawda, świat piekny, warto na nim pożyć,
Byle człek zawdy miał co w gębę włożyć...

CZŁEK I DRZEWO.

W skalistej kępie na ugorze
Stoi samotny, suchy smrek —
Dokoła niego skale orze
Zgarbiony biedą człek...

Ledwo za pługiem wlecze kości,
A musi w skałę owies siać —
I nieraz drzewu pozazdrości,
Że może cicho stać.

PO BURZY

Jeszcze ostatnia głośna błyskawica,
Potem jęk — odgłos piorunnego młota —
Wreszcie ucichło... Przeszła naremnica,
W oddali jeno dudni i turkota.

Już na zachodzie chmura się przeciera.
Przez okiennicę wązkiego otwora
Niebo błękitem na ziemię wyziera
Taksamo jasne, pogodne jak wczora.

A tu na ziemi lić... Potoki huczą,
Każdem wgłębieniem warczą wały wodne —
Zda się: tę ziemię doznaku opłuczą,
Ostawią jeno skały samorodne.

Zściężałe drzewa ociekają rosą,
Trawy się lżejsze prostują powoli,
A zboża źrałe, jakby ścięte kosą
Leżą pokotem wzdłuż po mokrej roli.

Z miedz obalonych sączą się strumienie,
Źródło z każdego bucha kretowiska —
Gdzie okiem rzucić — wszędy spustoszenie,
Zatopy mętnych wód i zamuliska.

Na zagon wązki wyszedł chłop od chałup,
Popatrzał w koło... „Myślałech, że zgarnę
Co z tego pola... a tu wszystko na łup —
Cała ta praca człekowa na marne..."

Stanął bez rady i opuścił ręce,
A w sercu uczuł zwątpiałość bez granic.
Z oczu łzy trysły... „Myślałech poświęcę —
Ale to na nic... wiem, że i to na nic..."

TĘ KRAINĘ...

Tę krainę kęp i wiecznej nędzy
Okryły mgły
I osnuły nakrztalt lotnej przędzy;
Polne krzewy i drzewa i chaty
Zaodziały w płaszcz haftem bogaty.
W przedziwne szwy...

Tę krainę spowiły przędzidła
Na długie sny...
Mróz opalił lekkie ptasząt skrzydła —
I pomilkli w gąszczach ptacy leśni.
Płacze słychać ciche zamiast pieśni —
Płynące łzy...

Tę krainę smutków i niedoli
Zamroził ból...
Wszystko życie zakrzepło na roli.
Beznadziejnych świt nie uszczęśliwi.
Ni budzące echo nie ożywi
Skostniałych pól...

O ZIEMIO!

O ziemio nędzy i zamarzłych kęp!
W łonie twem ognie gorzeją głęboko,
A pierś twa zimną i twardą opoką,
Którą lemieszem targa szłowiek-sęp...

Nad tobą codzień białe słońce wschodzi —
Jużby i skały stopił ciągły żar;
A tyś niezmienna z praodwiecznych kar,
Twe ciało ścięte w lód i wiecznie chłodzi...

Nad tobą tarcza księżyca srebrzysta
Co noc zawisa, blada i promienna —
A tyś, jak prawda jakaś praodwieczysta,
Zlodowaciała, zimna i kamienna...

Tysiące karmi twój niewdzięczny plon —
Lecz mowa ich jest nieustannem łkaniem,
Żywot każdego powolnem konaniem,
A życie wszystkich — jeden cichy zgon...

ONEGO CZASU...

Onego czasu przyszedł Mistrz — z górnej krainy
I szedł w dolinę cichych łez — wiecznych padołów.
A z Nim odwieczny pokój szedł — pokój aniołów
Ujarzmiać ziemskie syny zgliszcz — aniołów z gliny.

A miał On w sercu mordów lęk — bojaźń dzieciny;
Najcichszych uczniów z sobą brał — i apostołów
I szedł z miłością wielką w świat — na cichy połów.
Nieustraszony jawą mąk — za obce winy.

A miał nad światem dziwną moc — i władzę dziwną.
Chociaż nie dzierżył złotych rózg — berła Syonu,
Ale z pokoju wity znak — gałęź oliwną.

A miał zaprawdę wielką moc — majestat tronu,
Gdy nad jeziorem w jasną noc — cisi i niemi
Stali uczniowie, a On rzekł: „Pokój na ziemi...“

BRAHMINI.

Wyszło promienne Bóstwo z indyjskiej świątyni
Skąpać się w powietrznianej fali na błękitach
I zaśniło o nowych, niestworzonych bytach
I oddało swe myśli naturze-mistrzyni.

Nazajutrz rano przyszli kapłani-brahmini
I, strwożeni, szukali Bóstwa na sufitach —
Napróżno. Aż z radością dopatrzyli w mitach,
Że się schowało, senne, do złoconej skrzyni...

A gdy się wierni zeszli — kapłani przezornie
Zamknęli, mówiąc: „Tam śpi... Nie budźcie, aż wstanie."
I na twarze przed skrzynią upadli pokornie.

I wierni uwierzyli w ciche Bóstwa spanie
I czcili pokłonami marę — gdy na ziemi
Myślą się unosiło wieczną między nimi...

W ŚWIĄTYNI ASSYRYJSKIEJ.

Na kamiennych posadzkach, u stopni ołtarzy
Tłum, klęczący pokotem, zatopił się w skrusze —
Ponad nim od kadzideł dymów pióropusze,
Sto świec jasno w złocistych lichtarzach się jarzy.

Jednem pragnieniem blizcy, i młodzi i starzy —
Wszystkie niedolą życia utrapione dusze —
Wyrwali się krwawiącej oczy zawierusze
I tu przyszli pociechy szukać w boskiej twarzy.

Przywiedli swoje męki, bóle i zawody
I chylą kornie czoła, uroszone znojem,
Żali się nie domodlą sercom swym ochłody —

To nadzieja ich wznosi, to pochyla trwoga...
Na klęczących — od wieków jednakim spokojem
Patrzy z góry twarz ślepa kamiennego boga.

WRÓG BOGÓW.

W spokojnym domku siedzi, swój chleb suchy zjada.
Miesza w tyglach, oblicza i plany układa.

Ponad nim wyją burze, szaleją wichury,
Kłębią się nawałnice, owisają chmury —
Rozpacz wszechświata pędzi, strach i pomstę niesie,
Gmachy wali i dęby druzgoce po lesie —

On w swoim cichym domku, nakrytym powałą,
Co noc do snu układa głowę osiwiałą.

Za ścianą tłum się ciśnie, walczy, wre i spędza —
Wściekłych spaja zawziętość i rozdziela nędza —
Wszyscy gnają w krainę nieznaną... po szczęście,
Ku niebu, gwiazdom, słońcom, wyciągając pięście —

On w swoim cichym domku swój chleb suchy zjada,
Miesza w tyglach i słońce siwem okiem bada.

I dziw!.. Wszechwładne słońce, światło wiecznych lodów
Dla ginących i zginąć mających narodów,
Zimne na łzy i klątwy — bojaźliwem drżeniem
Zadrga, gdy siwe oczy napotka promieniem...

MIŁE DROBIAZGI...

Miłe drobiazgi życia! Powszednie uciechy!
Skarby, świecące oczom od wdzięcznej pozłoty!
Ciepłe ogniska w pustce! Ziewające cnoty!
Czary snów jednostajnych! Nędznie małe grzechy!

Błękitne rosy, deszczem ciekące ze strzechy!
Różowe, z rąk niewieścich splecione wykroty!
Dobre, poczciwe serca! Zabobonne płoty!
Piękne, konaniu duszy grające uśmiechy!

Kocham was, jak ten orzeł kocha drób skrzydlaty,
Kiedy ponad nim toczy na powietrzu kręgi,
Zanim z góry wybierze okiem rzut najprostszy...

Kocham was, jak ten wicher kocha las bogaty,
Kiedy, zanim się wzedmie do boskiej potęgi,
Na kruchych drzewach ziemi swoją siłę ostrzy...

„O GRAJ!...“

O graj!
Wesołe pieśni graj!
Niech melodya mknie i goni,
O szczęściu ludziom głośno dzwoni
I niesie raj
Uśmiechów jasnych, a szcześci
Jak ciche, słodkie sny i pieści
Muzyką fal...

I w dal —
Niech płynie w dal!
Na senne morza, na kraj świata,
Na skrzydłach wiatru, co przelata
Z uśpionych hal...
Wszędzie usłyszą, radzi o niej,
Bo ani struną nie zadzwoni
Smutek, ni żal...

O graj!
Wesołe pieśni graj!
Niech melodya twa upaja,
Niech ziemię w kwiaty poustraja,
W przecudny maj...
Śpiewaj, o śpiewaj! Pieść miłośnie,

Mów ludziom złote sny o wiośnie,
O szczęściu graj!...

Patrz: świat
Od zbytku szczęścia zbladł!
Powiędły kwiaty od gorąca,
Ziemia spękała się od słońca —
I któżby zgadł,
Ile do raju przeszło bytów,
Gdy jeden promień tu z błękitów
Na ziemię padł?...

O graj!
Wesołe pieśni graj!
Niech melodye cicho płyną...
I wierz, szczęśliwy, że gdy miną
Tysiące lat —
O życie twoje będą sprzeczki,
Jak o półboga, który świeczki
Z Olimpu skradł...

WIOSNA! WIOSNA!

Wiosna! Wiosna! — deszcz majowy przelał —
Jakby kto urok rzucił:
Cały świat wszerz naraz poweselał,
Rozgwarzył się, roznucił...

Trawy zmyły proch z zielonych szatek —
Kąpiel, to ich uciecha —
Kwiaty późno wstały — każdy kwiatek
Inaczej się uśmiecha.

A wszystko jakieś zpojone majem,
Rozgląda się nieśmiało —
A ptaki, to aż kołyszą gajem,
Tyle się ich zleciało...

To grzywacze, to drozdy, to kosy,
I jako się tam mienią —
Chórem dzwonią naprzemian w niebiosy,
Aż im się dzióbki pienią.

Odzywają się i głuszce niemi,
Ziemia drga od uniesień —
Ino jeden człowiek po tej ziemi
Włóczy ze sobą jesień...

BRAT I SIOSTRZYCA.

Gdy tylko małą chwilę spocznę,
Stają mi w oczach cienie mroczne,
A z nich wchyla ku mnie lica
Niepokój i tęsknica...

Zrywam się — pędzę, kędy skryta,
Duszy nieznana okolica —
Darmo!.. przybywam — już mię wita
Niepokój i tęsknica.

I choćbym, idąc w przyszłość ciemną,
Błękitem zaszedł do księżyca —
To wszędy pójdzie jak cień ze mną
Niepokój i tęsknica...

WIECZOREM...

Jakiż cię, duszo, jaki świat
Na mojej stawił drodze?
Że już od wczesnych życia lat
Do dziśdnia z tobą chodzę...

Czyś się zrodziła z morskiej fali,
Z uścisku wodnych ramion?
Że tyle w tobie głębi, dali
I nieuchwytnych znamion...

Czyś się zrodziła z plam księżyca
W jesiennej, cichej nocy?
Że blado świecą twoje lica,
Czarownej pełne mocy...

Czyś szumem ku mnie wyszła z boru
W cichym, letnim wieczorze?
Że tyle w tobie rozhoworu,
Co szeptów leśnych w borze...

Czy cię mgła czarna niosła z sobą
I była twem odzieniem?
Że mi okrywasz świat żałobą
I światła mroczysz cieniem...

Czyś z melodyi ziemskich wstała,
Z powietrznych jakichś dźwięków?
Żeś mi się pieśnią rozebrzmiała
W muzykę skarg i jęków...

Czy cię wiatr przywiał z ciemnych dali,
Spowitą w ciche płacze?
Że się coś w tobie wiecznie żali
I skarży i kołacze...

— Ni ja zrodzona w obcej stronie,
Ni z cichych snów księżyca,
Ni mnie wydały morskie tonie,
Ni zorza jasnolica.

Ni mnie z błękitnych dali z sobą
Powietrzna fala niosła —
Jenom ja życiem razem z tobą
Tu, na tej ziemi wzrosła...

GWIAZDĄ ZAWISASZ...

Gwiazdą zawisasz nocą w błękicie
Wieczna Tęskoto!
A z twych promieni wyśnione życie
Fantaści plotą...

Ty ich prowadzisz za drogą mleczną
W czarowne sny,
I oni, lecąc za prawdą wieczną,
Giną jak ćmy...

W bezbrzeż ich ciągnie magiczny wzrok
Dalej i dalej —
Póki ich wieczny nie skryje mrok
I żar nie spali...

TY PÓJDZIESZ ZE MNĄ!

...Gdzie zwrócę swe kroki,
Czy w dal obłędną i w nieznane mroki,
Czy na pustynne oceanów brzegi,
Czy na skostniałe wieczną zimą śniegi,
Czy w kraje, kędy nie zachodzi słońce —
Wszędzie! Na wieczność i na świata końce
Ty pójdziesz ze mną... Droga! pójdziesz wszędzie!
Na dolę jasną i niedolę ciemną. .
A gdy Cię moja prośba nie zdobędzie,
To ci rozkażę — i musisz pójść ze mną!
Wszakżeś mi sama, Ty gołąbko biała,
Nad sobą wieczne panowanie dała.
O święta moja! Idźmy razem!
Zespólmy drogie sobie dusze
I bądźmy jednym ich wyrazem!
Wiesz, że przy Tobie odżyć muszę,
Muszę tajemne stłumić dreszcze,
Odegnać duszne niepokoje,
Bo mię czekają długie jeszcze
Płomienne boje...
A gdy z nadmiaru nieludzkich uderzeń,
Lecących z siłą i ogniem błyskawic,
Zapomnę przysiąg i płomiennych wierzeń
I opuszczony ujrzę się wśród mgławic —

Ty wówczas, rękę kładąc na ramieniu
Mojem, śląc ku mnie swe spojrzenie miłe,
Powiesz: Bądź silny! — i obudzisz siłę...
Bo, czerpiąc moce w twem jasnem spojrzeniu,
Dając hart stalny mego serca strunom,
Pójdę sam przeciw grzmotom i piorunom!
Ale najdroższa... Ty pójdziesz w świat ze mną
Na dolę jasną i niedolę ciemną?

POWIADALI MI CHRZEŚNI...

Powiadali mi chrześni, moi chrześni-ojcowie,
Kiedym dzieckiem siadywał nad wodą:
„Nie przedumuj ty, Franku, nad potokiem, bo kto wie,
Co sie stanie z tą twoją urodą?“

„Wyjrzy z toni boginka, z topieli co sie pieni,
I urzeknie oczami, niezbozna,
I tak cię przeinaczy, tak doznaku odmieni,
Że cię matka rodzona nie pozna“.

*

Powiadali mi chrześni, kiedym ze wsi wychodził,
A świat mi był otwarty jak brama:
„Nie chodź, Franku, bo bedziesz kiedyś żalem zawodził,
I dusza już nie wróci ta sama“.

„Obaczysz kraje większe, lecz niech cię to nie łudzi,
Bo i nędze obaczysz tam krwawsze —
Świat oczy przeodmieni — zapomnisz swoich ludzi,
I serce ci zabierą na zawsze...“

*

Oj, czemużem nie słuchał waszej dobrej przestrogi,
Czemużem was nie słuchał, o chrześni!
Dziśbych chętnie powrócił z tej opłakanej drogi
I żył w szczęściu, jak żyją rówieśni...

Przez ten urok nieszczęsny muszę w dalekie kraje —
W życie coraz smutniejsze i łzawsze...
Świat oczy przeodmienił — i was już nie poznaję,
A serce mi zabrali na zawsze...

ŚPIEW JAŚKA.

(Z Mazurków Szopena.)

I

Oj, sługował ci ja, Zosiu,
Przez niejedną wiosnę,
Hej!... niejedną wiosnę —
Powiadałaś: „Bedę twoją.,
Jak ino urosnę...
Hej!... ino urosnę“.

I urosłaś taka śmigła,
Jak jedlica w borze —
A ja zmalał, jak ten smerek
W skalistym ugorze...

Oj, co mnie też przesadziło
W to samotne pole,
Hej!... samotne pole —
Wysłużyłech tobie szczęście,
A sobie niedolę,
Hej!... sobie niedolę...“

II

„Oj, biedne moje serce
Na poły sie dzieli —
Hej!...
Jedna strona płacze,
Druga sie weseli...“

W MŁODZIEŃCZYCH MOICH SNACH...

W młodzieńczych moich snach
Jest wszystko, co zachwyca...
Morza o cichych dnach,
Srebrzone od księżyca,

Doliny złotych niw,
Kraje, gdzie wieczną wiosną
Zboża, nie znając żniw,
Kwieciste w słońcu rosną.

W młodzieńczych moich snach
Jest świat, co zachwyt budzi —
Świat, pełen szczęścia... Ach,
Szczęśliwych niema ludzi...

SĄ DRZEWA CHORE...

Są drzewa chore, których nie uzdrowi
Ożywczy promień wiosennego słońca —
Z każdym się latem chyli ku dołowi
Ich bezowocna korona więdnąca.

Są gwiazdy ciemne, których nie rozświetli
Sto słońc, powstałych na kosmicznym globie —
Żadnemu światu ich ogień się nie tli,
Lecz blado lśnią się, zadumane w sobie.

Są dusze smutne, których nie rozbawi
Największa z rozkosz pieszczotliwem graniem —
Myśl ich z lubością własne serce krwawi,
Żywot ich ciągłem, powolnem konaniem.

SZCZĘŚLIWY JESTEM...

Szczęśliwy jestem, kiedy widzę z blizka,
Jak mi się ziemia do słońca migoce,
Jak mi tęczami przecudownie błyska,
Jak mi się bieli w księżycowe noce.

Dla mnie się srebrem kaskada rozpryska,
Dla mnie wszechziemskie melodye miękną,
Dla mnie, jak nimfa leśna z uroczyska
Wypływa z tajni pomrokowej Piękno.

I w boskiej pysze uśmiecham się dumnie
I szczęśliw jestem, kiedy patrzę z blizka
Na hołdownicze cuda i zjawiska...

Lecz, gdy z zaświata myśl przyleci ku mnie,
Szczęśliwszy jestem, kiedy patrzę z dala
Na ziemię, jak się odemnie oddala...

ŚPIJ ZIEMIO!

Śpij ziemio!
Nie budź się ze snu, który ci drugiem życiem —
Śpij spokojna!
Nikt nie zamarzy nad twojem rozpowiciem,
Ziemio znojna...

Śpij ziemio!
Ułóż swe cielsko, znużone dziennym trudem
I pracą dzienną.
Są stróże nocni — niech czuwają nad ludem,
Nad ziemią senną...

Śpij ziemio!
Za ciebie człowiek, pasterz wolnej myśli czuwa —
Śpij spokojna!
On lata, kiedy twoje cielsko sen przykuwa,
Ziemio znojna...

Śpij ziemio!
I znowu zbudzisz się do nowych trudów
Rannem świtaniem —
A jemu życie strażnią wszystkich ludów,
Wiecznem czuwaniem...

ŚPIĄCE KRATERY.

Dokoła pustka... po martwej przestrzeni
Posępność białe popioły rozsiewa,
Nuda kamyków szuka wśród kamieni,
Staje — rozciąga ręce w krzyż i ziewa...
A nad omszałych ruin ziemią smutną
Szarość rozwłóczy obielone płótno.

Gdzie okiem dojrzeć — aż po sine brzegi
Cisza spokojnie na gruzach się ściele,
Skrzydłami zmiata zaprószone śniegi,
Wiecznie panując snom — w niemym kościele.
Nic nie zamąci rozwidniałej ciszy —
Czas tylko, idąc wśród pustkowia, dyszy...

Niedawno jeszcze w tej cichej kotlinie
Huczało życie spienioną roztoką —
Stały strzeliste gmachy i świątynie,
Kopuły czoła nosiły wysoko
W promieniach słońca, a jaskółki chyże
Wieńcami złote otaczały krzyże.

Niedawno jeszcze słychać było mowy,
Kazania głośne na forum przestronnem
I widać było falujące głowy,

Jak z nabożeństwem chylą się pokłonnem,
Jak się wezbraną rozpływają rzeką
Z ulic na błonia daleko, daleko...

Gwarny tu był świat... O, niedawno jeszcze!
Gdzież ci prorocy, ci dalekowidze,
O świeżych pączkach na uschłej łodydze
Mówiący z wiarą świętą?... Gdzież ci wieszcze
Natchnieni, z liry złoconemi w dłoniach,
Grający w słońcu baśnie o piwoniach!?

Smutna ironio! Rozsypany świecie!
Oto z wiar twoich, z twojej monstrancyi
W kształt nadsłonecznej protuberancyi
Płomień wystrzelił i zwiędnął, jak kwiecie
Na skale pustej bez ziemi więdnące;
Oto zagasło oczom twoim słońce.

Z kościołów twoich, gdzie tłum na modlitwie
Pędził bezmyślne życie swe — ruiny...
Z twych gniazd rodzinnych — prochy... jak po bitwie
Mgła opalenisk wstaje i dym siny.
Z ogromu ludnych, czerniejących mrowisk
Pagórki gruzów, skorup i rumowisk...

Ponadtem cisza i spokój cmentarny
I pustka wieczna i wieczne milczenie.
Głuchą przestrzenią chodzi Smętek czarny,
Obsiada szare, nagrobne kamienie;
Głaz ma, gdy na nim siędzie, połysk kruczy.
A w głębi lawa płynie, wre i huczy...

KU SŁOŃCU...

Wszyscy idziemy naprzód!... przez wyboje,
Przez zaspy miałkich piasków, przez urwiska,
Przez dnie i lata, przez trudy i znoje,
Przez zaginionych osad popieliska —

Wszyscy idziemy... Z okrzykiem wesela,
Z pieśnią zwycięzką, która czyni szumy
I lotem ptaka ku niebu wystrzela —
Z fanfarą pychy i odkrywczej dumy

Idziemy naprzód... O każdym poranku
Czas wieczny życia ujmuje po ćwierci —
My idziem naprzód wciąż i bezustanku,
Nie bacząc, że idziem ku śmierci...

. . . .

Całą zieloność ziemi — szaty wierzchnie
Pokrywa proch i mgła i szarość —
I, zanim cały świat zamierzchnie,
Nadchodzi zwolna senna starość...

Z ginących statków ptak odlata,
Nim je pokryją wód powierzchnie —
A z tonącego we mgle świata
Nawet i jedna myśl nie pierzchnie...

Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI...

(LIRYCZNA KOMPOZYCYA)

Patrz — nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —
Uboczą idzie smreków szum.
Potoki huczą w dole...

Narodu ciżba, ludu moc
Szalonem kołem pędzi —
Śmiertelna jakaś, cicha Noc
Zawisła u krawędzi...

I jedno skrzydło czarne wzdłuż
Po niebie rozpostarła,
A drugie pod się biorąc — tuż
O skały je oparła...

I tak w milczeniu, pełna dum,
Stanęła nad urwiskiem.
U stóp jej czernią zaległ tłum,
Kotłuje się mrowiskiem

I w rozpętaniu ślepych mas
Szalonem kołem pędzi —
A przed nim zwolna stąpa Czas
I mierzy dal krawędzi...

Widzisz na stoku czarny las?
Jak długo stoi, kto wie...
Stoi tak, jak przed wiekiem stał —
I nikt z żyjących już ci nie opowie,
Kto go tam siał...

*

Hej!... nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —
Uboczą idzie smreków szum,
Potoki huczą w dole.

Szatański jakiś tworzy wir
Ta roztańczona rzesza,
A noc rozplata ciemny kir
I dołem go rozwiesza...

„Zapomnieć! dalej! wartko! w skok!
Niech ziemia się rozdudni!...
Rozbity piersią, padnie mrok
I noc się wypołudni...“

„Zapomnieć trosk i łez i krwi,
Ho, dalej! bez pamięci!“
Naród z proroków bożych drwi,
Igrzyska stare święci.

„Hej, ognia! ognia! Palcie stos!
Niech bogom strzeli w oczy!...“

Huczy wezbranej fali głos
Daleko po uboczy...

I stał się każdy krzak ogniskiem,
Płomieniem jałowiec —
Zda się: pasęcy nad urwiskiem
Idzie kerdel owiec,
Owiec ognistych...
Przez ubocz stromą i pastwiska
Kędyś daleko
Rozchodzi się i rośnie w szałasy.
Które, zwolna pasęcy idąc, pokryły się w lasy,
Doznaku —
Jeno dymy za nimi się wleką,
Jakby przy każdym krzaku
Pasterze niezgaszone odeszli ogniska...

* * *

W dolinach mgły...
Na nieprzejrzanej ziem przestrzeni
Białe się morze przelewa i pieni
I tak się cicho z bezmiary kołysze,
Jak od błękitów spadające wisze...
Wiatr po niem tańczy i grzywiaste lwy
Porywa, wstrząsa, obala i ciska,
W toń białą rzuca i grzbiety im gnie,
Do piersi fale miłośnie przyciska,
Obraca niemi, wiruje i mknie
Z nieznanej dali w nieznaną dal...
Dziwna igraszka fal
Na smutnych mgławic szarym oceanie!
Skąd zatopionych gór skaliste szczyty
Widnieją słońcu — niebosiężne granie —
Wyspy umarłych, chowające byty
W grobowcach skalnych... W pozłocistej dali,
Gdzie od błękitu odcina się brzeg
Słońce się krwawo zimnym ogniem pali,
Po wierchach topi wiekuisty śnieg
I płomienistem wytacza się kołem...

Dołem,
Na szarzejącej równi białej,

Mgły-samotnice, ciche, opuszczone,
Błądzą i wiatru płaczą... Włos rozwiały,
Nie wiedzą, smutne, w którą lecieć stronę.
W rozpaczy białe wyciągają szyje
Do słońca, co się poza wierchy kryje.
Wyszło... Z obawy, że im znowu pierzchnie,
Pochwyciły się za ręce i lecą
Białe, pierzaste, jak łabędzie świecą —
Całe ich stado powietrzem falisto
Płynie, aż słońce od ich skrzydeł mierzchnie,
Mży i rzewnością otacza się mglistą,
Łagodnym smutkiem idącą w przestworza...

W dolinach szare łamią się powierzchnie
I rozstępują się, jak wody morza
W pełną księżyca noc, kiedy urokiem
Gwiazd przyciągnięte fale się podnoszą.
I rozdzieliły się w kopiaste kłęby,
Które się zwolna ponad ziemią toczą.
Suną i suną, osłonięte mrokiem,
Mkną przyczajone, a blaski je płoszą
I pędzą dalej a dalej uboczą...
Aż się pokryły w zagłębie i jary,
Lub się w powietrzu rozwiały, jak mary.

I na tę ziemię łez i wiecznych cieni,
Ziemię płaczących brzóz, jodeł i sosen,
Gdzie ludzie dawno zapomnieli wiosen,
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni —
Na tę nieszczęsną, skamieniałą ziemię
Spłynął brzask ranny...

Od przeczystej zorzy
Iskry padają w zadymione szyby
Chat poczerniałych i szarych lepianek.
Budząc do życia to nizinne plemię.
Na wyrkach swoich dźwigają się chorzy,
Starcy omszali, jak miesięczne grzyby,
Wyłażą z chałup witać biały ranek;
I młodzi śniade wychylają lice,
Patrząc, jak światło mknie przez okolicę,
Jak się po roli wzdłuż smugami kładzie.
A w pełnym blasku wszystkie te postaci
Są, jako grusze w zacienionym sadzie,
Są, jako blade, ziemniaczane naci,
Które w piwnicy wilgotnej przed wiosną
W nocy się kłują i bez słońca rosną.

Na ugor pusty, podobny cmentarzom,
Pasterz wypędził bydło, niech po trawie
Znikłej żywności szuka... Smutne owce
Zbierają grzyby i gryzą jałowce.
A on, pacholę, siadł... Trzy lata prawie,
Jak ten urok minie, służy gospodarzom.
To jest od czasu, jak mu jeść nie dali
W chałupie, mówiąc, żeby robił na się,
Żeby szedł komu paść... Poszedł i pasie.
Nigdy się na nic przed nikim nie żali,
Codzień o brzasku i o jednym czasie
Wygania w pole; a gdy słońce wschodzi,
Klęka przy bydle i mówi pacierze,
A potem śpiewa wciąż na jedną nutę.
Czasem go tylko cicha zazdrość bierze,

Gdy trawa szczypie nogi zimną rosą...
Jak to jest — myśli — i jak się to godzi,
Że bydło w ciepłe racice obute.
A on wciąż za niem musi chodzić boso?

Siadł — bose nogi podwinął pod siebie
I okiem słońce prowadzi po niebie,
Licząc, daleko jeszcze do południa...

W kotlinach szara ziemia się zaludnia
I szmer się cichy po polach przenosi
Gwarem pszczół, trzmieli i chrabąszczów polnych.
Nie słychać piosnek, ni śmiechów swawolnych,
Jeno deszcz gwary, cichy, nieustanny,
Co zaciśnięte wargi łzami rosi.
Wyszli na pola, wyszli w czas poranny —
Każdy w zagonie swoim wązkim grzebie,
Każdy kroplistym oblewa się potem,
I każdy prawie myśli tylko o tem,
Skądby tu więcej przygrzebać dla siebie
Tej ziemi pustej... Kobiety i dzieci
I niedorostki i starcy schyleni —
Wszystko się rusza na ziemi wilgotnej,
Wszystko dziękuje Bogu, że im świeci —
I sercem błaga, by dał jęczmień pleni
I pełny z niego owoc pięciokrotny,
By nie przeciągnął żniw aż do jesieni
I w gniewie swoim nie dał zbiórki słotnej,
By w dzień pogodę zsyłał, w nocy deszcze,
By dawał zdrowie, moc — i więcej jeszcze.

Tak polecając Opatrzności nieba
Wszystko, co mają na tej ziemi pustej —
Nie pożywają codzień swego chleba,
Ale głód żują zsiniałemi usty...

O, łez kraino! O, ty smutna ziemio!
Oto nad tobą w chmurach bogi drzemią
I o wieczności, zamyśleni, marzą...
Gdybyś im ściętą w lód stanęła twarzą
W promieniach oczu — ujrzeliby w tobie,
Przez pryzmat patrząc jasny i słoneczny,
Wieczność, zakrzepłą w lód, Rozpacz i wieczny
Smutek — z Niewoli urodzony w grobie.

Na łąki, pola i ugory skalne
Białością spływa Cisza południowa.
Ciepłe od skrzydeł roznosi powiewy,
Po drzewach wiesza ramiona upalne
I w cienie jodeł skroń gorącą chowa.
Znieruchomiały jałowce i krzewy,
Ucichły suche badyle i osty,
Trawy bez szeptów rosną — zda się, czują
Tę białą Ciszę, idącą po ziemi.
Jeno pajęcze muszki owdzie snują
Szarą nić życia i, wiszące mosty
Na wiatr z mozolnie powikłanej przędzy
Kładąc, nie wiedzą, że jutro, czy prędzej
Deszcz je zatopi może razem z niemi...

Na łąki, pola i tłoki skaliste
Płynie za ciszą spokój nieprzerwany,

Jakieś od mogił milczenie wieczyste,
Żałość błękitna, żal w niej zakochany
I dziwnie rzewne jakieś zadumanie.
Idą po ziemi i na każdym łanie
Siadają spocząć, jak spoczywa starość
Na grobach dawnych... Gdzie spojrzeć przed siebie —
Nic — jeno martwa i milcząca szarość,
Nic — jeno pustka wielka, nieskończona,
Z oczodołami utkwionymi w niebie.
Nic nie zamąci głuszy. Czasem wrona
Zakracze, kiedy nad tą ziemią leci
W kraj, gdzie i ptactwu dłużej słońce świeci.

Na łąki, pola i puste zagony
Płyną za białą, południową ciszą
Umarłe pieśni... Ludzie ich nie słyszą,
Nie wiedzą o nich... A przedziwne tony
Grają po trawach, szeleszczą po zbożu,
Jak pieszczotliwy szept dziecka przy łożu
Umierającej matki. Gdzie dolecą —
Tam łzy, po listkach spadając, zaświecą
I lekkie w ziemi skryją się westchnienia.
Skon południowej ciszy... Zimne drżenia
Przechodzą polem... Kołyszą się liście
Traw i włosiste pochyla się zboże,
Jakby odczuło skądś dalekie przyjście
I włosy chciało słać przed stopy boże...

Wśród łanów sennych i sennych ugorów,
Wśród tej bezmiernej pustki i bezkresnej,
Jakby dalekie zaświatów zjawisko —

Nakształt mgły wiotkiej, zwiewnej, bezcielesnej,
W otęczy szarobłękitnych kolorów
Przepływającej ponad ziemią nizko —
Widnieje w słońcu, przeźroczyście biała
Postać Chrystusa... Ramionami swemi
Piersi przyciska, jakby z mogił wstała
I niezakrzepłe miała w sercu rany.

Jak nędzarz świata, który na tej ziemi
Niema i kąta, gdzieby głowę skłonił —
Tak Syn człowieczy schodzi na kurhany,
Na groby, które pył wieku osłonił,
Na tę krainę łez i wiecznych cieni,
Krainę smutną brzóz, jodeł i sosen,
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni,
A ludzie dawno zapomnieli wiosen.

Schodzi na pustki, ugory i niże
Z wielką białością południowej ciszy,
Z wiecznym spokojem dusz, niosących krzyże,
Z umarłą pieśnią której nikt nie słyszy.
I po tej ziemi idzie przez pustkowie
Martwe — w dal jakąś nieskończenie wielką,
Za którą leży mrok... Na złotej głowie
Łza Matki jego zastygła kropelką
I błyszczy w słońcu, jak na tęczy rosa.
Włosy wiatr mąci... Od każdego włosa
Smugi się złote na ramionach kładą;
Bladoróżowe z nich padają zorze
Na twarz wychudłą, bolesną i bladą
I rozświetlają, jak słońce, gdy złoci

Białe, na liściach rozwieszone płótno.
Oczy anielskie, z których błyszczy morze
Łez i jezioro nadludzkiej dobroci.
Patrzą w bezkresną dal — bezmiernie smutno...

Rzędem jałowce zasępione siedzą
I ośniedziałe zboże się kołysze,
Gdy Syn człowieczy znędzniały i bosy
Wśród głuchej pustki idzie wązką miedzą.

Wstają ku Niemu wiatrów towarzysze:
Łzawa Niedola, rozpuściwszy włosy,
Jak siny obłok przez powietrze leci:
Wychudła Nędza wlecze się po tłoku
I z niemą prośbą wyciąga swą szyję.
Ból się w jałowcach po za cieniem kryje,
Lecz jęk zalata hen — i ogień świeci,
Jak fosforyczne próchno, w Jego oku.
A ciemna Rozpacz z wiatrem się szamoce
I ręce łamie nad głową i wyje,
Jak zawierucha pól w zaduszne noce.

Za odchodzącym w dal wołają: „Chryste!..."
I wyciągają w przestrzeń swe ramiona,
Tam — gdzie mgławice kręcą się wieczyste,
Gdzie się poczyna pustka nieskończona...

A On tym smutnym i cierpiącym srodze
Samotne krzyże wskazuje po drodze
I niezastygłe jeszcze w dłoniach rany
I wydeptane ścieżki na kurhany.

I gdy tak smutny w milczeniu przechodzi
Łany ziół pełne, chwastów i kąkolu —
Widzi na pustem i odludnem polu,
W miejscu, gdzie na krzyż droga się rozchodzi,
Poszytą w żółty mech — kapliczkę z drewna,
Przy niej człowieka, klęczącego w pyle;
Modlitwa jego prosta jest i rzewna.
I, niewidziany, staje niemą chwilę.
Żałośnie patrząc, jak Dusza, gdy wodzi
Okiem po świecie obcym, bezrozumnym.
I niepoznany — w smutku swym — odchodzi.

Z poza drzew biały, drewniany kościółek
Kłania się wieżą, którą lotem szumnym
Obiega stado kawek i jaskółek.
Nadchodzącemu otwiera się drzwiami,
Z których wylata chmurą woń kadzidła
I gorzki zaduch zwartych w ciżbę ludzi.
Z tych część wprawnemi modli się wargami
Do oprawnego w ołtarz malowidła,
Druga część drzemie, a reszta się budzi,
Gdy sygnałowy dzwonek się rozlegnie
I ziewa, jak to czynią ludzie prości,
Kiedy się nudzą... Nikt nie myśli o tem,
Że Syn człowieczy, zrodzony w nizkości,
Na ziemię schodzi — nikt kolan nie zegnie
Przed Synem bólu, stojącym u progu,
Od wieków istnym w zadumań kościele,
Gdzie lny i zboża kładą się pokotem,
A bożej męki kwiat posadzki ściele.

I przyszedł Chrystus mimo — idąc dalej —
Nieznany ludziom, obcy temu Bogu,
Któremu świece lud w ołtarzach pali.

I coraz więcej łez do serca spływa
I coraz wyżej falami się spiętrza —
Gdy idącemu życie się odkrywa,
Gdy mu się stają widne chałup wnętrza.

Widzi gromady zajadłe i wściekłe,
Wzajem na siebie podnoszące ręce,
Postaci straszne, czarną krwią ociekłe,
Twarze zsiniałe i napół zwierzęce.
Rodziny widzi, które dzień odchodzi
Przy kłótni, a noc przy bitce spotyka.
Widzi, jak córka własną matkę głodzi,
A syn rodzica do chlewa zamyka —
Słyszy przekleństwa, rzucane na dzieci
I na swych ojców, którym już nie świeci
Pamięć niczyja... Litanje złorzeczeń,
Z ust do ust prawie idące od wieków,
Jak stare mity... Wszystkie te rozpacze
Głodzonych jaskiń, próby odczłowieczeń,
Fale czerwone spadających ścieków —
Słyszy i widzi... I łzą odkupienia
Czystą, serdeczną w swojem sercu płacze —
Nie nad złem wielkiem, co się rozprzestrzenia,
Ale nad nędzą, która to zło rodzi.

I w takim smutku osiedla przechodzi,
Jak Żal, co nigdy odpoczynków nie miał,

Stare cmentarze opłakując rzewnie,
Aż wreszcie — świeże widząc groby, że w nie
Żywi się kładą w rozpaczy — oniemiał.
I odtąd idzie w smutku swym i głuszy
Za trumną własnej, oniemiałej duszy.

Głowa na piersi znużona opada;
I staje Mu się twarz widmowo blada,
Gdy krew do serca uchodzi po kropli;
A włosów strączki w kształt lodowych sopli.
Deszczem płynących w południa gorącu.
Perlistym potem ociekają w słońcu.

I we mgle potu, gdy idzie przez łęgi,
Tworzą się z pereł smużne światłokręgi —
Stubarwne tęcze wiszą Mu nad głową.
A gdzie na trawę stąpi nogą bosą,
Tam krew się miesza z przeźroczystą rosą,
Znacząc śladami tę drogę krzyżową.

Zapatrzon w księgę żywotów okrutną,
Pod łez ciężarem częstokroć upada.
Wówczas Mu ziemia jękiem opowiada
Żywota swego epopeję smutną:
Ile grobowców szatą swą okrywa,
Ile ciał martwych bez trumien spoczywa
Pod jej opieką... Ile krwawych wschodów
Przeżyła senna... Ile już narodów
Deptało po niej, sądząc, że umarła —
Jakie tu nad nią walk wisiały dymy
I jakie deszcze spadały ogniste.

W krwawych potopach dając jej ochłodę...
„W cichości znoszę ukochania mękę,
Stróżując grobów“ — szepce. — „Lecz, o Chryste!
Czy mnie ukocha pokolenie młode?“

A On, powstając, w mrok wyciąga rękę
I rzecze smutno: „Ukochało cienie...“
I na powietrzu krzyż nad ginącemi
Czyniąc — odchodzi... A jęk smutnej ziemi,
Rozdzierającej w żalu mgieł odzienie,
Płacze w Nim samym dokoła i wszędzie...

I czuje sercem, że na tej tu ziemi
Niema spoczynku dlań — bo gdzie usiędzie,
Wyjdą ku Niemu skargi, łzy i modły,
I wszystkie krzywdy przypełzną pod nogi
I wszystkie płacze zejdą się wieczyste
I poczną wołać: „Oto nas zawiodły
Jasne nadzieje; oto nas i Bogi
Już opuściły... Chryste! ratuj, Chryste!...“

A On wołania te słysząc płaczliwe,
Skonałby z żalu i osrebrzył lice,
Spokojem martwych patrząc w nieszczęśliwe,
Jako się patrzą lodowe księżyce.

Na tej tu ziemi łez i wiecznych cieni,
Ziemi płaczących brzóz, jodeł i sosen —
Gdzie ludzie dawno zapomnieli wiosen,
W jesienie własnych smutków zapatrzeni,

Na ziemi smutnej opuszczonych łanów,
Ziemi omszałych mogił i kurhanów —
Spoczynku nie ma...
I nigdzie nie spocznie
Chrystus, po grobach smętnych idąc dalej
W kraj widnokręgów, szarzejących mrocznie,
Kędy tęsknota błędne ognie pali...

I przy zachodzie zórz, krwawiących szczyty,
Wstępuje Chrystus na górę olbrzymią,
Stromą i pustą, skąd widok odkryty
Na obszar niemy... Kaskady się dymią
U stóp, a dalej sino-łuskie węże —
Błękitne rzeki wiją się daleko,
Gdzie wzrok spienionych paszcz ich nie dosięże...
Mgły ponad niemi powietrzem się wleką
I, jak znużone wędrówkami ptaki,
Chmurami wodne obsiadają krzaki...
W dolinie — miasto rojne, jak mrowisko,
Dalekie, mroczne, a zdaje się blizko
Wieżami sięgać; zielone kopuły
Słońcami patrzą ku zorzy zachodu,
Po dachach szarych dymy się rozsnuły...

I patrzącemu zwolna w myślach wstaje
Wizya senna umarłego grodu...
Święte bóżnice i oliwne gaje
I palm ogrody stają przed oczyma —
Lecz serca Jego już nie uwesela
Piękna — nad wszystkie córy Izraela
Piękniejsza — pani miast, Jerozolima.

Bo zdaje mu się, że stoi na szczycie
Głuchej Kalwaryi, usłanej obficie
Grobami ofiar. A u stóp, w dolinie,
Cedron falami czerwonemi płynie...

I łzą boleści zachodzą Mu oczy,
Gdy patrzy w rzekę, co fale krwi toczy —
I wielkim smutkiem ciemnieją Mu lice,
Gdy okiem idzie przez rojne ulice...

Nic — nic po wiekach... To samo, to samo...

Widzi kapłanów, wychodzących bramą
Z onego domu, gdzie mieszka Rozpusta.
Faryzeuszów, mówiących przez usta
Kłam i fałszywe dających przysięgi.
Widzi ich, ciżbą idących z kościoła,
Wielkie na ręku dźwigających księgi,
Z bojaźnią bożą patrzących dokoła,
Jako zbrodniarze, gdy ich się zawoła
Wprost po imieniu. Patrzy na ich lice,
Kiedy z uśmiechem kupców i kramarzy
Wchodzą do sklepów i w cuchnącym szynku
Saduceuszom czynią obietnice
W zamian za złoto... Widzi tych handlarzy —
I cudzoziemskie kohorty na rynku.
I mieszczan widzi, wznoszących mozolnie
Z dobrego serca i własnej ochoty
Ku wiecznej chwale swej — pomnik Głupoty
I ten sam nędzny, żyjący niewolnie
Tłum głodnych ludzi, spieszący na połów
Ryb — i zgarbionych, dźwigających młoty,

Kopaczy ziemi skalnej — i tych cieśli,
Którzy Mu z prostych serc świątynie wznieśli.
Widzi ich wszystkich... A wśród nich — o dziwo!
Najgorliwszego ze swych apostołów
Groźnego Pawła, mówiącego żywo
Ogniste słowa, które niby ołów
Padają w serca... Widzi, jako z fali
Tworzy się rzeka, wezbrana otuchą,
Kłębi się, toczy, opadając głucho
Na brzegach jezior... A w zamrocznej dali
Przez topniejące, purpurowe zorze
Widnieją krzyże . . . . . .
. . . . . .
. . . . . I widzi sam siebie
Tam — pośród tłumu, na biednej ulicy
W głos mówiącego ludziom słowa boże
O przyjść mającem dusz wybranych niebie,
O Ducha swego wiecznej tajemnicy,
O prawach serca, nieznanych ludzkości,
O wspólnym dziale prac i o miłości...

I widzi siebie, pojmanym za wiarę,
Którą wygłasza, oddanym sądowi,
Przed którym świadczą płatni najemnicy:
Że w mowach swoich gromi bogi stare
I lud buntuje przeciwko rządowi...

I widzi siebie, biczowanym srodze
I prowadzonym wśród tłumów za miasto...
Gdy upodleni plwają Nań bluźnierce,
Jedna niewiasta, na krzyżowej drodze

Stając, łzy roni. Tej rzecze: „Niewiasto!
Krzyżem ci będzie twoje wielkie serce...“
Na oną górę, gdzie stoi, Go wiodą —
A On wyciąga do Siebie ramiona —
Wciela się w Jedno — zawisa na krzyżu —
I kiedy kropla krwi spłynęła z wodą
Na skroń niewiasty, stojącej w pobliżu,
Ze łzą cichego przebaczenia — kona...

A Duch się Jego rozpływa powoli
W błękitną ciszę pogodnych wieczorów,
W umarłe pieśni, grające po roli —
W ten cichy smętek pól, łąk i ugorów,
W rzewność na grobach świeżych rozmodloną,
W mglistą, posępną, jesienną szarotę —
I płynie w bezmiar pustką nieskończoną,
By znowu ciałem wrócić na Golgotę...

* * *

A po tej ziemi, po tej smutnej ziemi
Idą samotni Chrystusa uczniowie,
Idą pokorni i cisi i niemi,
Rozmiłowani w objawionem Słowie.
Zielona Gwiazda jaśnieje przed nimi,
Rosy poświęceń dają laury głowie.

Ukochali Go, jak swego Rodzica.
W Nim ukochali życie swe tułacze —
Ten cichy smętek łanów i ugorów,
Tę melancholię, co pola przesyca,
Te dziwne jakieś po mogiłach płacze,

Tę rzewność słodką gwieździstych wieczorów,
Tę białość wielką południowej ciszy
I owe pieśni, których nie usłyszy,
Kto nie ma duszy na cierpienia tkliwej.

I schodzą za Nim na pola i niwy,
Na tę krainę łez i wiecznych cieni,
Krainę smutną brzóz, jodeł i sosen,
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni.
A ludzie dawno zapomnieli wiosen.
I schodzą za nim na pola i niże
Do mokrych chałup, zatopionych w biedzie,
Póki ich droga smutna nie zawiedzie
Do miast — po chłosty, więzienia i krzyże.

* * *

Świat stygnie. Wnętrze ziemi gorejące
Kostnieje w lód.
Zwolna śmiertelny sunie chłód
Na szarzejące ziem powierzchnie...
Lodowy dzwon
Grające dźwięki przenosi na słońce —
I odlatują stada wron
Z tej ziemi, zanim dzień zamierzchnie...

* * *

...A nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —

Uboczą idzie wiatrów szum,
Potoki huczą w dole...

Narodu ciżba, ludu moc
Szalonem kołem pędzi —
Już nad głowami zwisła Noc,
Czas usiadł na krawędzi...

Dokoła zamrok wzdłuż i wszerz
Otoczył ludzkie plemię...
„Ty, Boże, z nieba ogień skrzesz —
Niech padnie tu na ziemię!..."

I pękły chmury — wypadł grom,
Oślepił tłumne rzesze —
Ziemia dygoce — skały drżą,
A piorun ogień krzesze...

Z rozdartych krwawo, czarnych łon
Wylata błysk za błyskiem —
Naród szaleje: „Śmierć i skon!"
I tańczy nad urwiskiem...

„Na śmierć! Na zabój! Rozpacz! Szał!"
Narodzie, szalej, szalej!...
Cha! cha! — i strzępy krwawych ciał
Po skałach tańczą dalej...

. . . . . .
. . . . . .

Cisza i spokój. Martwy sen.
Świt na wierzchołki wyszedł gór —
A nad urwiskiem, hen,
Na zaginionej, wązkiej perci
Usiadł ponury anioł śmierci
I krew strzepuje z czarnych piór.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

SPIS RZECZY:

DROGA 6
IDĘ KU TOBIE 11
PRZELOTNE PTAKI 15
MÓJ DOM 21
Z RÓŻNYCH CHWIL:
Przekleństwo 27
Na hali 28
Miałem raz chwilę 29
Północ 30
Świt 32
Sam jestem 33
Z GÓR:
Jest kraj nieznanych cudów 37
Zaśnięci 39
Ze szczytu 41
Z wierchów smreczyńskich 43
PO UGORACH:
Po ugorach 47
Cień 50
Śnieżna pani 52
Patrzcie, Wojciechu 54
Człek i drzewo 56
Po burzy 57
Tę krainę 59
O ziemio! 60

ONEGO CZASU:
Onego czasu 63
Brahmini 64
W świątyni assyryjskiej 65
Wróg bogów 66
MIŁE DROBIAZGI:
Miłe drobiazgi życia 69
„O graj!“ 70
Wiosna! Wiosna! 72
Brat i siostrzyca 73
Wieczorem 74
Gwiazdą zawisasz 76
Ty pójdziesz ze mną 77
Powiadali mi chrześni 79
Śpiew Jaśka 81
W młodzieńczych moich snach . . . 83
Są drzewa chore 84
Szczęśliwy jestem 85
Śpij ziemio 86
Śpiące kratery 87
Ku słońcu 89
Całą zieloność ziemi 90
Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI 91

(Kraków - Poręba Wielka - Genewa, 1896—1900).

TEGOŻ AUTORA:

NAD URWISKIEM, szkice i obrazki. Nakład Towarzystwa Wydawniczego. Lwów 1900.

KOMORNICY, powieść. Nakład Towarzystwa Wydawniczego. Lwów 1900.

W ROZTOKACH, powieść. 2 t. Nakład Towarzystwa Wydawniczego. Lwów 1903.

SKAPANY ŚWIAT, dramat w 4 aktach z epilogiem. Nakład Księgarni Polskiej (B. Połonieckiego). Lwów 1903.

Н № 710245

WYZSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
221025

Biblioteka WSP Kielce
0078659